ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Kwietnia. № 15. Roku 1855.

POWIEŚCIARZ ZNAD WYBRZEŻA DEGLI SCHIAVONI

czyli

Jak się Wenecyanie bawią.

(Dokończenie. Ob. N. 12. 13. 14. Rozmaitości).

Cokolwiek ochłonąwszy, bierzemy się z wściekłością do doktora. Patrycyusz grozi batogami, ja pchnięciem noża najgłębszém, jaki się da kiedy pod ziobra zasadzić, jeżli nas natychmiast nie wymienia i nie odda to co komu należy. Przerażony Bartolinetto wzniósł ramionami po uszy, błaga przebaczenia, pogodzić nas chce wybiegiem „co głowa to głowa“ ale to nie uchodziło ani u kobiét ani u nas. Smeralda przezywa go szarlatanem, Libella chce mu oczy wydrapać. Na próżno żali się doktorzyna na niewdzięczność, nikt żałoby nie słucha, a o zapłacie ani myśléć, wyśmiano go jeszcze. Na skinienie Libelli porywa Don Flamingo doktora za kołnierz, więc go szarpać, więc skubać, więc czochrać, trząść, przewracać, nakoniec znękanego w dziób i odniósł do Padwy.

A my przy naszéj zamianie zwracamy jady na siebie. Miotają się klątwy, przekleństwa, groźby, byłoby się i do kijów wzięło, tylko że w obawie byliśmy, ażeby w drugim własnego ciała nie pokaleczyć, dało się więc pokój kułakom. Bo kto teraz Orazio? kto Antonello? kto tu jest Nobile, kto Barkarola? moja głowa odwołuje się na uszlachcone ciało jako większą połowę ludzką, i dowodzi że kształt i budowa daje okrętom nazwisko, bandera zaś to nie konieczny przydatek; czółno czółnem, chociażby dziesięć admiralskich bander na niém wywiesić. Mój zaś przeciwnik porównywa siebie do kolumny, i prawi że kolumna kolumną, dopiéro nagłówek dowiedzie z jakiego ona porządku; a jego nagłówek jest niezawodnie szlachetny koryntski, zatem i ciało szlachetne. Sprawa wytacza się przed damy, ale i one się mięszają, z kłutni naszéj niema dla nich połowu, i radzą nam tymczasem wracać do Wenecyi, niech spory nasze sądy rozstrzygą.

Zatem oziębłe poszło pożegnanie, wracamy w gniewach i zajadli na siebie. Ale wprzódy kiedy jeszcze bocian wyczwarzał doktorem, ja, niewiem czy wiedziony rozumem Memma, czy instynktem

Antonella, schwyciłem puszkę z perlimpimpinem, która wypadła była doktorowi z kieszeni. — Przybliżywszy się do naszéj gondoły, Antonello-Orazio, czyli mieszczańska głowa na szlacheckiém ciału, rzuca się z pańska na poduchy i rozkazuje Orazio-Antonellowi stawać do wiosła. Zgrzytnęła zębami patrycyuszowska głowa, ależ kiedy tylko jego chłopskie ręce umiały rudel prowadzić i wiosłem robić, więc musiał słuchać; za to przysięga, że się téj obelgi krwawo pomści, ale moja eccelenza w barkarolskiéj czapeczce na poduszkach, szydzi z peruki i puszastego kapelusza Nobilich przy wiośle.

Wysiadamy wreszcie na piazzecie. Od niechcenia wyciągam kiesę, którą znalazłem w mych nowych sukniach, i rzucam przewoźnikowi cekina. Niewdzięcznik! wrzeszczy: oddaj mi moją kiesę, oddaj moje pierścienie, mój zegarek, moją głowę! Poszanowanie, nędzniku, dla płaszcza patrycyusza! Czy uzuchwalasz się na moją uświęconą osobę? mówię mu. Ratujcie, ratujcie, wołam przed napaścią szalonego barkarola! — a on także w głosy: ratujcie, ratujcie od łotra barkarola.

Zbiegła się zaraz nieprzeliczona gromada ludzi, ci obstają za jednym, ci za drugim, ale większa liczba za znaną wszystkim twarzą patrycyusza. Właśnie przechadzał się Doża popod kolumny, słyszy takie zgiełki, i wysyła sługę sądowego Messer Grande ze zbirami po nas. Wzięto nas do więzień inkwizycyjnych, zaprowadzono w osobne „Quadri“ i jeszcze tego samego wieczora stawiono przed sądem.

Prokurator sądowy obwinia nas nie tylko o czarną magię, ale wnosi jeszcze cięższe oskarzenia potępiające nas o zaburzenie porządku publicznego, jakoby sprzysiężonych na pogwałcenie bezpieczeństwa w państwie. „Do czego-to dojdzie, zarzucił mówiąc, jeżli senatorowie i patrycyusze zaczną mieniać swe głowy jak peruki, jeżli się wstydzić nie będą zasadzać na siebie rybacką czapkę jak motłoch uliczny? Głowę stracić, rzecz ludzka; a dzieje republiki dają tego nie małe świadectwa, jak senatorowie, hetmani wojsk, nawet dożowie sami popadali takiemu nieszczęściu; ale posadzić sobie na kark głowę cudzą, do tego jeszcze głowę z gminu, to rzecz niesłychana. Co to za nieprzewidziane klęski urosną na naszą konstytucyę, gdy się pomięsza w jedno ciałsko krew pańska i chłopska! Jakaż-to nie nastanie gmatwanina zasad arystokrackich i demokrackich w jedném i tém samém ciału? W co przejdzie statek nasz, którym się szczycimy już przeszło lat tysiąc? Państwo zagrożone, republika się rozpada, jeżli w tym tu przypadku, uwiedzeni niewczesną litością, nie wytniemy tego raka zaraźliwego od razu. Daję głos na śmierć, na ścięcie obudwu przeniewierców.“

Dziesięć czarnych gałek spadło do worka na znak, że trybunał przyjął powody oskarzyciela, na dowód że wymowa jego za ścięciem głowy sprawiedliwa.

Sekretarz inkwizycyi odczytał nam wyrok, jako o północy przypłacić mamy życiem mądrość padewską. Czy téż spotkało kiedy człeka podobne nieszczęście

jak nasze? Kto się poszczycić może, ażeby mu w przeciągu jednéj doby dwa razy głowę ścinano?

A strażnik mego więzienia, Sior Salvadore był w zażyłości ze mną od dawna. Trzymałem mu raz dziécię do chrztu i odtąd zkmotrzyliśmy się. Moja niedola rozczuliła go do łez, szukał sposobu jakby mię pocieszyć, zaklinał się bogiem i duszą, że o bolu, kiedy ścinają i mówić nie warto, to tak jakby pchła ukąsiła, albo szpilką ukłół, nic więcéj — także prawił, rozumiał ja to lepiéj — ale dodał, że nim mię zetną, pozwolą mi przyjąć święte sakramenta w kaplicy więziennéj, a on za moją duszę każe z własnego sześć mszy odprawić. Jam na to smutny potrząsł głową, a łzy w oczach stawały. W tém genialna iskra wpada mi na myśl. Kmotrze! mówię mu, na miłość świętych związków które nas łączą, zaklinam cię, ratuj patrycyusza! oto masz pełną kiesę w zadatku. Pan Memmo hojny jest, dołoży jeszcze że swego we dwoje, we czworo, ale biegaj do niego, przypomnij mu schwytane perlimpimpino, niechże ci da przepis jak się z tém obchodzić. Jeźli wszystko podług przepisu zrobisz, ocałejemy raz jeszcze. — Salvadore pomacał worek, coś niedowierzał, uściskał mi rękę z płaczem i poszedł.

Ciężko, ciężko toczyły mi się minuty. Probowałem odmawiać rożaniec, ale w ucisku serca ledwo się dało trzy gałki domówić. Sroga wątpliwość nękała mię, czy téż proszek sam bez doktora będzie skuteczny, czy może do tego potrzeba będzie coś przymawiać, a kto wié czy kmotr będzie tak zwinnym i akuratnym jak należało? te i tym podobne myśli wysuszały mi mózg do reszty. Lampa przede mną paliła się widocznie z niechęcią, wyraźnie czekała nim mię stracą, ażeby samej pójść na spoczynek. Rozpatrywałem się po ścianach, co moi poprzednicy tam popisali; w rozpaczy rzucam się na tapczan moje ostatnie legowisko, zamykam oczy — ale nieszczęsny topor wciska się przez zaciśnione powieki. W tém puka strażnik do drzwi: Wstawaj Antonio, ksiądz idzie! Wstawaj, będziesz miał dość jeszcze czasu się wyspać na wieki!

Przypomniawszy spowiedź i absolucyę, kata i topor, spełzła mi w pamięci jakoś cała trwoga; tyle tylko pamiętam, że kichnąłem gwałtownie, oczy-m otworzył, i znalazłem się w mojém zwyczajném odzieniu, pod kolumną Ś. Teodora, i to jeszcze, żem przed sobą zobaczył Messer Orazia i dosłyszał jak na mnie wołał: Héj Antonello, wstawaj! godzinkę po Canal grande!

Eccelenza! I chciałbyś jeszcze raz może w zaczarowany ogród Don Porporinazza? I my jeszcze żyjemy? i odmiana głów naszych spełniła się? — Pan Patrycyusz zmierzył mię wzrokiem, ruszył głową co coś znaczyło, udał jakby nic o niczém nie wiedział, i tylko surowo zapytał: czy ci się śni, czyś się upił? — W milczeniu odwiązuję gondołę, odepchnąłem od brzegu, i przepłynęliśmy tam i z powrotem, i żadnéj nigdzie łodzi ani na oczy, czerwonéj i srebrem wykładanéj. Pan Orazio przespał całą

godzinę w spokojności niepojętéj; przybiłem do brzegu, obudziłem go, zaklinałem jeszcze raz po cichu, by mi powiedział, czyli na przyszłość nie mamy się obawiać trybunału? czyli na przypadek nie zachował troszkę z perlimpimpinu? — Ale mój pan jaśnie wielmożny, trwał przy swojém, przezwał mię głupim, z czego pomiarkowałem, że mu trybunał inkwizycyi surowo nakazał milczenie, że umyślnie tak udaje, ażeby o zamianie głów i słych zaginął. Odtąd jak mi co ślina na język niosła, połykałem zaraz, przytłumiałem ciekawość w duszy, i odtąd ani przed patrycyuszem ani przed nikim nie wygadałem się z słowem. Wy moje dzieci piérwsi jesteście, którym to pod klątwą i pod błogosławieństwem na mojém łożu śmiertelném powierzam. Może byłbym o tym całém zdarzeniu i sam zapomniał, gdyby mi rumatyzm czasami w karku tam gdzie rąbek nie przypominał, za każdą zmianą powietrza odzywał się — nie ma zatem wątpliwości, że to tak było i prawda jest.

Temi słowy skończył mój ojciec swoje opowiadanie; nadwątliło to jeszcze mocniéj siły jego. Posłaliśmy śpiesznie po księdza do San Moise; przybył z Panem Bogiem, miał zbawienną przemowę, która nas wszystkich do łez wzruszyła, dał umierającemu ostatnie pomazanie, i w jego oczach zasnął mój ojciec.

PIELGRZYMI WIELKANOCNI W RZYMIE.

W pobliżu do „Ponte sisto“ wznosi się rozległy gmach nakształt pałacu, zwany „*Ospizio dei Pellegrini*“ przeznaczony na przyjmowanie tłoczących się do Rzymu ubogich pielgrzymów, i ażeby ich żywić darmo przez trzy dni. Familie najznakomitsze rzymskie zobowiązują się ślubami czynić obsługi pielgrzymom, i składają między sobą braterstwo zwane: *Archiconfraternitá dei Pellegrini.* Osobne siostr braterstwo składają damy i panie z piérwszych rodzin rzymskich, i podejmują służbę około pielgrzymek goszczących pod tym samym dachem ale w oddzielnym gmachu.

Pielgrzym musi się wywieść, że przybył ze stron dalekich, o mil najmniéj sześćdziesiąt, inaczéj nie może być przyjęty. Pomawiano konfraternię, że Szwajcarów przyjmować nie chciała, pod pozorem że z zamku Ś. Anioła niema mil sześćdziesiąt do gospody pielgrzymiéj. Miało to być przymówką do nieuki Rzymian; atoli jeźli umysł nie świetny z nauk, za to u Rzymian serce ludzkie, tchnie miłością bliźniego, a wyznawców wiary świętéj i pokory chrześciańskiéj tylu i więcéj liczy niż inne ludy bluźnierców i odszczepieńców.

Pobożny obrzęd rozpoczyna się czwartego dnia w Wielkim tygodniu i trwa przez trzy dni do saméj Wielkanocy. We czwartek o godzinie piątéj z południa, czyli dwudziestéj drugiéj na rzymskim zégarze, wyrusza cała konfraternia w procesyi z pielgrzymami do kościoła Świętego Piotra. Każdy z Braci prowadzi po dwóch pielgrzymów, przyodzianych w szare płaszcze z przepaską białą, a z kapturem jak widujemy u mnichów. Niektórzy miewają jeszcze króciutkie zarzutki podobne płaszczykom od deszczu, kapelusz o kresach szerokich, u pasa dzbanuszek z tykwy albo płoskę drewnianą, a w ręku kij pielgrzymi z krzyżem. Wielu lamują płaszcze muszlami, a u wszystkich wisi przy pasku

różaniec i krucyfix. Od kołnierza spadają dwa przyszczepki nakształt rękawów, wolno na wiatr puszczone, a pod szyją złożone dwa ręczniczki wąziutkie na wzór doktoratek duchownych. Za pielgrzymami śladem postępują pielgrzymki w szarych płótniankach, idą parami za przewodniczką ubraną w bieli a należącą do konfraternii. Przybywają do kościoła i stają szeregiem w bocznych nawach przed ołtarzem; tu po nabożeństwie i modłach zasiada kardynał penitencyarynsz słuchać spowiedzi pielgrzymów. Siedzi na podniesieniu i oczekuje z rozgrzeszeniem tych win, których odpuścić inny kapłan władzy by niemiał. A wydarza się czasami; sam widziałem jednego.

Z tą samą ceremonią po ukończeniu nabożeństwa wracają na gospodę; gubią się w celach, aż za znakiem dzwonka na Anioł Pański, schodzą się do sali, gdzie się zaczyna mycie nóg Pielgrzymom. Praca nie mała dla siostr i braci konfraternii, bynajmniéj ceremonia, gdzie tyle nóg zbolałych, rannych, okaleczałych, w rzeczy saméj jak niewolnicy najprzychylniejsi obmywają, oczyszczaja i zawijają. O drugiéj godzinie z północy idą wszyscy do stołu w dwóch salach sklepionych, długich, gdzieby się tysiące pielgrzymów zmieściło. Piérwszą salę zdobią statuy i popiersia założycieli; ściany drugiéj sali okryte są napisami z wymienieniem wszystkich legatów i legatorów jak idą za abecadłem; a sumy legacyjne są ogromne. Pielgrzymi siadają popod ściany, przegroda oddziela widzów, i zostawia wolną przestrzeń braciom kofraternii w posłudze. Każdy z nich przypiął fartuch, i podaje co potrzeba pielgrzymom; a sadowią ich podług narodowości, Włochów z Włochami, Greków z Grekami, Sławian z Sławianami. Za mnie było najwięcéj Włochów i Niemców południowych szczególnie z Austryi. Wielka Brytania miała tylko jednego reprezentanta, potomka Erynu z Kilkeny.

Przed każdém nakryciem stoi miara wina w glinianym dzbanie i czarka, bułka chleba, garnuszek z polewką, talerz sardelów, drugi z sałatą, trzeci z jabłkami i rodzynkami. Potrawy widać że smacznie są przyprawione, stół czysty i ochędożnie nakryty. Już ławki pozajmowane, już oko pielgrzyma uśmiecha się do dania, gdy w klepadło znak dają na modlitwę. Jeden ze spółbraci występuje na ambonę, odmawia na głos krótką łacińską modlitwę, którę ktoś ze swoich każdéj narodowości przy stole tłumaczy; po modlitwie biorą za łyżkę. Bracia jedni podają talerze, drudzy inną posługę czynią, przynoszą potrawy z kuchni, odnoszą czary, nalewają wina, rozmawiają z pielgrzymami, i cała uroczystość odbywa się z największą powagą.

Ale jak idzie ceremonia u Pielgrzymek, tego mężczyzni nie widzą, osobną mają usługę, a goście u nich same kobiéty.

POCZESNE.

Opowiadał Chevalier de G...

Hrabia d'Artois przyjął w dom swój sekretarza, paniczyka z prowincyi; pisklę młodziutkie co za dom jeszcze nie wzlatywało. Dobra, poczciwa dusza; wypuszczony na świat przybył do stolicy i na dwór książęcy z całą szczerotą prostoty wiejskiéj.

Zdawało mu się że w pałacu Wersalskim on u siebie na wsi; łaził po wszystkich kątach, zachodził do wszystkich pokojów, zaglądał do każdych drzwi, nie raz go wyłajano, ale niepoprawny, ciekawości powściągnąć nie mógł.

Zabawkę z nim mieli dworzanie i oficerowie hrabi d'Artois wielką. Prostoduszny, ślepo wierzył, usłuchał zawsze rady, a na co go podmówiono święcie wykonał; wprawdzie

zawsze z takiéj podmowy wychodził ze wstydem, ale żartu nigdy nie brał za urazę; przygodę nieszczęściu przypisywał.

Ale tych przygódek narastało co dzień, że gdyby się ich dziś nie wstydził, a chciał spisać, miałby pamiętników tom spory. Sam hrabia d'Artois ubawił się nieraz z prostoty, jaką o nim opowiadano; najbardziéj pomięszały mu się tytuły i godności, traktował odźwiernych jak książąt, a księcia samego jak równego sobie. Rozśmieszało to księcia, ale w dobroci swojéj zakazał oficerom domu swego nadużywać téj szczerości niewinnéj, i nie zdradzać zaufania jakie w nich pokładał. Ah! mawiał książę, pozwólcie mu téj szczeroty, nie długo ją straci.

Raz żali się ten nowy sekretarz, — nazywał się hrabia de Barmes — jednemu z dworzan książęcych, że nie może otworzyć szkatułki, gdzie chował listy swojéj kuzynki i pieniądze trzymał. Kluczyk mu się zepsuł, i z tym żalem udał się do tego dworzanina, a miał do niego najwięcéj zaufania, chociaż ten właśnie najwięcéj z nim się drażnił. Ale w téj chwili oficerowi nie zbierało się na żarty, i odpowiedział opryskliwie:

„Ma foi“ mój luby, idź do ślusarza, ale nie do mnie.

Dobrze do ślusarza! odpowiedział de Barmes, ażeby mi śliczny kluczyk jeszcze na kowadle rozbił; ja wiem, co to ślusarz!

Czegoż chcesz u kata?

Czy nie znasz mechanika jakiego, kogoś lepszego niż ślusarz?

Może chciałbyś ślusarza z rodowodem szlachectwa? mówi oficer śmiejąc się.

Właśnie, właśnie, mówi de Barmes, takiego by mi potrzeba.

Przedziwnie! wpada mi na myśl, — że ja tobie nic odmówić nie mogę! chodź ze mną.

Ale czy zręczny? pyta sekretarz.

O! najzręczniejszy człek na całą Francyę.

Może nadworny ślusarz?

Nadworny.

Słuchaj! mówi oficer, zatrzymując go pode drzwiami w jednym pokoju, czy słyszysz?

A słyszę w saméj rzeczy jak pilnikiem piłuje.

Otóż wnijdź i powiedz mu czego chcesz.

A ty czemu nie pójdziesz ze mną?

Mam służbę; ale mi powiesz, jak ci naprawi.

Młody Charles wchodzi spokojnie, nawet nie puka, powitał ślusarza od niechcenia, zresztą dosyć grzecznie, bo się już troszkę przejął dworszczyzną.

Co Pan rozkaże? zapytał ślusarz nieco zdziwiony.

Przychodzę z robotą do ciebie, mój poczciwcze, odpowiedział Charles.

Dziękuję! a komuż zawdzięczam rekomendacyę, mówi ślusarz uśmiechając się.

Pan de Seilhar oficer na dworze hrabi d'Artois zalecił mi ciebie.

Prawdziwie bardzom obowiązany panu de Seilhar.

Mówił żeś najzręczniejszy człek na całą Francyę, i wierzę temu, boś ubrany bardzo strojnie, i na ślusarza za pięknie. Musi ci się dobrze powodzić?..

Nie źle, Bogu dzięki. Czém-że Panu służyć mogę?

Oto prosiłbym cię, napraw mi ten kluczyk; i wyjaśnił, o co mu chodziło. Ślusarz wysłuchał uważnie, pojął, zaraz kluczyk wziął pod miech, i w kilka minut naprawił.

Charles widziwić się nie mógł, z jaką łatwością to szło ślusarzowi, a najbardziéj że miał ręce białe, mankietki z koronkami, i że wspaniale wyglądał.

Po robocie mówi sekretarz:

Mój przyjacielu, bardzo dobrze; a co ja ci winien?

To z grzeczności; rad jestem że dworzaninowi mego... mego miłościwego Pana Hr. d'Artois mogłem przysługę zrobić.

Oh! to tak nie uchodzi.

Już przy tém zostanie mój Panie, przykro by mi było.

Więc pozwolisz, że jak się zejdziemy, nie odmówisz Poczesne.

A wtedy! przyjmę Poczesne.

I sekretarz uradowany odszedł. Tego wieczora przypadła na niego piérwsza służba. Hr. d'Artois bawił u królowéj; potrzebował jakiegoś pisma dla króla, i zawezwał sekretarza.

Charles de Barmes wszedł i osłupiał; ustać nie mógł takie go drzenie po całém ciele porwało. Król przypadkiem rzucił na niego oko, i zawołał wesoło:

Ah, mój gość!... a moje Poczesne? *)

Młody sekretarz w myśli że popełnił zbrodnię majestatu, padł z płaczem na kolana, ale go król pocieszył, i polubił właśnie za ten żart, że Charles de Barmes wkrótce wyszedł wysoko.

Młody sekretarz ma dziś lat siedmdziesiąt, a jeszcze gdy nam tę starą historyę opowiadał, płakał jak wtedy kiedy padł na kolana.

---

*) Ludwik XVI w chwilach rozrywki bawił się w ślusarstwo.

Wyprawy w głąb Afryki.

Zbliża się czas gdzie i horyzont środkowéj Afryce się rozwidni, a może i pora, że jak niegdyś ląd nieznajoméj Ameryki wystąpi państwem udzielném i Afryka. Już od północy przyświeca oświata francuska w Algierze, od południa Anglia zapowiada obszerne państwo u przylądka Dobréj Nadziei, od zachodu i wschodu ścielą się kolonie francuskie i angielskie, pod ich wpływem porastają krajowców osady i ustalają się w społeczeństwo ze światem cywilizowanym. Przepowiednikami nadchodzącéj epoki są ludzie myśli awanturniczéj, sądem tych co daléj nie patrzą, ale w obliczu dziejów są-to mężowie z powołaniem, wykonawcy woli opatrzności, którzy za narzędzie służą, jak za narzędzie służyli owi sławni awanturnicy, którzy do dzikiéj Ameryki zanosili promienie oświaty europejskiéj I z tego względu sprawy ich, acz dla nas może bez żadnéj chwilowéj korzyści, godne są wspomnienia.

Trzech młodych ludzi, trzech poruczników z indyjskiéj armii angielskiéj, Burton, Speke i Herne, puścili się dziś w zawód pielgrzymki awanturniczéj od wybrzeży wschodnich w głąb Afryki.

Dnia 6. miesiąca Safar, a w naszym 29. Października dniu zdaniem Moslemitów arcy szczęśliwym, ruszył porucznik Burton z Aden w podróż awanturniczą ku głębiom Afryki wschodniéj. Za przybyciem do Zeyli, zamiarem jest jego użyć wpływu Szermacha, pana plemieńców Somali, zaopatrzyć się w zwierzęta juczne, i przyłączyć się do jakiéj karawany idącéj do *Hurrur*, kraju gdzie jeszcze stopa europejska nie była, chociaż tylko dziesięć dni drogi wielbłądziéj od wybrzeży odległego. Roztropność pewnie nie była w tém wybierać drogę jak można najniebezpieczniejszą, ale niezłomna dusza Burtona sądzi, iż jeżli mu się ta podróż powiedzie, wszelka inna po dalszéj Afryce będzie tylko igraszką. Plemiona przez które przebierać się musi są Dankali i Esa-Somali, dzicz rozbójnicza bez żadnego pojęcia wiary, mało co świetlejsza od szczepu Gallawu, ale co do okrucieństwa zupełnie mu równa. Jeszcze gdyby to szczęśliwie przebył, i uszedł zęba lwiego, co arcy trudno, czekają go w Hurrurze groźniejsze przygody. Panujący w Hurrurze Emir, odziedziczył z ojca po ojcu pamięć srogości i okrucieństwa. Utrzymuje się u niego w tradycyi że byle Frankowie raz jeden tylko jego kraj zobaczyli, już by państwa pozazdrościli, a równie obawia się Egipcyan i Turków, i nie odstępuje go w dywanie dworzanin z gołym mieczem nad głową, na przestrogę co go czeka gdyby się zapomniał a cudzoziemca do kraju przyjął. Przy takim składzie Emir pewnie nie da się uprzędzić. Do tego jeszcze grasuje teraz w Hurrurze sprosna zaraza ospy.

Zapędzał się do Hurruru już nie jeden przed Burtonem podróżny; pamiętają doktora Krapfa, jak zawiedziony w nadziejach wrócił w 1841; szczęśliwszym po nim nie był i Barker kapitan z indo-angielskiéj floty, ani Francuz Rochel d'Hericourt, spełzły ich wysilenia, musieli zaniechać podjętéj pracy równie jak po nich inny śmiały Anglik Christopher porucznik przy marynarce indyjskiéj. Nie mogąc wojskowi, silili się za nimi katoliccy księża, ostatniemi laty niejaki Beke, ale ani im szczęśliwiéj się nie powiodło. Ciekawa zatem czego Burton dokaże. Wprawdzie po jego odwadze, śmiałości i wytrwałości spodziewać się można co najlepszego.

Plan jego podróżny jest bardzo roztropny. Jedzie w charakterze kupca hindostańskiego co w oryencie wiele znaczy, ma w posłudze dwóch Somalów z Adenu, i oprócz tego nabrał towarów, sukna, paciorek,

drobnych rzeczy stalowych, tytoniu i t. p., wiezie to na przedaż lub okup jak gdzie przypadnie. Układny jest przytem, spodziewa się więc w charakterze przybranym wymódz na krajowcach przynajmniéj jakowychś względów dla swojéj osoby, jeźli nie poszanowania swego majątku; a gdyby miano się targnąć na niego, gotów się do upadłego bronić.

Zamiarem jego jest rozpoznać dokładnie niewiadomy potąd kraj Hurrur, i czyli nie dałyby się otworzyć nowe źródła obrotu handlowego, przedsiębierczemu przemysłowi Anglii. Kraj słynie z bogactw płodów, ziemia niezmiernie jest żyzna, miasta są ludne, w około nich po wzgórzach rośnie kawa, winna macica, khal i wurra, opływa w gumę i zioła lekarskie, tak że może stanowić artykuł wywozu. Handel tu zreszta pewnie kwitnąć musi, dowodem już to że Hurrur zostaje stolicą handlu niewolnikami, i co rok przeszło po sześć tysięcy wyprowadzają ztamtąd murzynów Gallawy, i rozwożą po Arabii i Egipcie.

Jeźli się Burtonowi uda wywiedzieć w Hurrurze o tém co postanowił, a i towarów się swoich pozbędzie albo go z nich obiorą, zamyśla przeprawić się do Berbery, gdzie się zchodzi z drugimi towarzyszami awanturniczego przedsiębierstwa.

Porucznik Speke z bengalskiéj armii, zapalony myśliwy wyprawił się jeszcze 18. Października, i oczekiwać będzie Burtona w Berberze. Umiejętny zakres jego podróży jest odkryć dokładny spadek wód tego kraju, mając powody domyśiać się że góry księżyce— Dżebel al Komri — bieżą od północy na południe, nie zaś jak Ptolomeusz sądził w kierunku od wschodu na zachód. Puścił się ponad Wadi Nogal, i jeźli domysł jego się sprawdzi, trzeba będzie szukać źródeł Nilu na zachodnich pochyłościach Dżebelu al Komri. Podróż uprzyjemniać będzie łowami i myślistwem, i zbierać wzory zoologiczne. Z Berbery, gdzie się towarzysze zejść mają, zamierza puścić się w kraj jedynie z nazwiska „Dhulhabanta-Somali" znany, a który ma opływać w konie i wielbłądy. Podróż odbywa także przebrany w stroju kupieckim.

Trzeci młody oficer porucznik Herne, puścił się dopiéro po nich do Berbery także, a zamiarem jego jest zbierać wiadomości jakie karawany w te strony zachodzą, którędy idą, na jakich gdzie targowiskach się zbierają; a najbardziéj czyliby nie dało się dośledzić drogi w głąb Afryki. Dobry geolog, przeszuka w ziemi Kurrum pokłady wegla w jakie, opływa, opatrzy wysepki nadbrzeżne gdzie guano, i porówna gatunki gumy w tych stronach z próbkami które Sir W. Hooker porucznikowi Burton nadesłał.

Połączeni w Berberze trzéj towarzysze puszczą się społem prosto na zachód w sam środek Afryki. — To jest w krótkości program wyprawy, awanturniczéj zapewne, ale najporządniéj zapowiedzianéj.

Modła rzeźbiarska.

Wydał zeszłego roku C. G. Carus w Lipsku „Naukę o proporcyach ciała ludzkiego", do tego dziesięć tablic objaśniających praktycznie to co dla każdego miłośnika sztuk pięknych, tém bardziéj malarza i rzeźbiarza będzie potrzebném.

Najtrudniejsza we wszystkich przedmiotach sztuk plastycznych jest oznaczenie i wynalezienie pewnéj stałéj Modły, stałéj Normy, według któréj rozmiar szczególnych części ciała, szczególnych członków z osobna i w stosunku wzajemnym oddanym być winien. Architektura szczyci się już od dawna podobną modłą, dla tego u niéj tak wszystko jest pewném, tak stanowczém, że kto ją dobrze pojał, nigdy nie uczyni chyby w harmonii budynku. Że postać ludzka podobną może i musi mieć modłę przeczuwali najpierwsi Mistrze sztuki, każda też szkoła stawiała domyślne zasady, godząc na starożytnego Lisipa „Kanon" stracony, o którym wspominają, że zawierał podobną modłe.

Czyli jéj odszukał Carus, sądzić nie umiemy, ale to wiemy że jego modła dokładnie wymierza wszystkie członki, a jest nią długość linii pacierza w grzbiecie podzielona na troje, Jedna trzecia częsć długości pacierza, jest u niego miarą stanowczą, podług któréj i do któréj stosuje się rozciągłość wszystkich członków téj osoby z któréj ta modła jest zdjęta; i pokazuje że: długość od dolnéj szczeki do wierzchołka głowy wynosi 1 modłę; obwód głowy ma 3 modły; długość deki piersiowéj 1 modłę, szerokość piersi w połowie 1 modłę; ramię 3 modły; reka 1 modłę; górne udo $2\frac{1}{2}$ modły; dolne udo 2 modły; noga od przegubu po koniec wielkiego palca 1 modłę; cały człowiek $9\frac{1}{2}$ modły. Grzbiet zaś nowo narodzonego dziecięcia jest $\frac{1}{3}$ dorosłego, czyli 1 modła.

Pamiatka rocznicy stoletniéj Uniwersytetu Moskiewskiego.

Obchód stuletniéj rocznicy zakładu Uniwersytetu Moskiewskiego uświetniła cesarska Biblioteka Petersburgska wydaniem *Fac-simila* pierwszéj gazety rosyjskiéj z roku 1703 wydawanéj pod nadzorem, często redakcyą nawet korekta Piotra Wielkiego. Wydany egzemplarz obejmuje rok cały 1703, złożony z 39 numerów gazety, pismo jest staro cerkiewne, a trzcionki umyślnie do wzoru odlewane; obok oprócz tego sa odciski z oryginału litografowane, wierne do ręki Piotra. Poprzedza krótka wiadomość literacka o gazetach rosyjskich, z przeglądem bibliograficznym tego co o nich pisano, w końcu dodany jest obszerny spis rzeczy porządkiem alfabetycznym. Całość przedstawia w obrazie niemal cały żywot publiczny i polityczny Rosyi, jest niejako uzupełnieniem dokumentów historycznych, i w istocie osobliwością pewnie więcéj niż prosto literacką. Oryginałów téj gazety z r. 1703 znają tylko dwa, i obydwa znajdują się w cesarskiéj bibliotece petersburgskiéj.

Główny Redaktor **M. Szczeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*